Nr. 45. Warszawa, dnia 30 Października (11 listopada) 1874 r. Rok X. SERYJA 3-a.



CENA PRENUMERATY
łącznie z 12-tu tomami bezpłatnego dodatku:

W arszawie z odnoszeniem do domu:		na prowincyi w Cesarstwie i Królest.	
rocznie. . . .	rs. 3 k. 60	rocznie . . .	rs. 5
półrocznie. .	„ 1 „ 80	półrocznie . .	„ 2 k. 50
kwartalnie. .	„ 90	w Austryi roczn.	9 guld.
miesięcznie .	„ 30	w Prusach „	5 talar.

REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT
NR. 30 NOWY.

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień co Środę
Skład Główny w Księgarni A. Kowalskiego przy ulicy Nowy-Świat Nr. 39 nowy; w *Poznaniu* w księgarni Leitgebera i Spółki, we *Lwowie* u Wilda Karola; w *Żytomierzu* u Budkiewicza księgarza; w *Krakowie* w księgarni A. Nowoleckiego

NUMER POJEDYŃCZY KOP. 10.

WYBÓR
NAUCZYCIELI DOMOWYCH.

„W edukacyi domowej widzę same niedogodności.“ Nie mówiąc już o słabym nauczaniu, o nieregularności wykładów, braku współzawodnictwa, jest jakiś ład przestarzały w wykształceniu domowym, jakieś wspomnienie księdza jegomości i jego wychowańca, które rozumiem w niektórych familijach arystokratycznych, ale które nam synom dziewiętnastego wieku nie przystoi. Demokracyja, która jest i powinna być życiem przez wszystkich i dla wszystkich, może tylko dopuszczać wspólne z wszystkiemi wykształcenie“ Tak powiada autor wybornego dzieła: „Ojcowie i Dzieci“ (p. Ernest Legouwe) i jeżeli mowa o zasadzie ogólnej, zgoda. Jeżeli jednak miałoby iść o zastosowanie zasady tej w szczegółach, jeżeli mielibyśmy wcielać ją w życie bezwzględnie, w takim razie wypadłoby tu i owdzie położyć *veto*, bo znaleźlibyśmy położenia w których właśnie wykształcenie domowe ma wyższość po nad systemami, innemi w których nad nauczanie wspólne więcej cenionym być winno. Czy *do nas* położenie podobne da się odnieść i zastosować, odpowiedź musimy zostawić własnemu sądowi czytelnika własnej jego znajomości potrzeb i warunków miejscowych. Ktokolwiekbo, nad jednemi i drugiemi zastanawia się bliżej, czyja myśl jednoczy się na każdym punkcie z ideją zbiorowego szczęścia, kto dla budowy szczęścia tego, pragnie przygotować robotników wytrwałych, kto pragnie słowem dać społeczeństwu obywateli prawdziwych; ten przyznać musi, że najpotężniejszym działaczem w urzeczywistnieniu tych pragnień nie może być nic innego jak tylko pedagogija *domowa*, że przeto jak najszerszym tej ostatniej rozwojem uzależnia się w znakomitej części siła, życie i pomyślność społeczna. Jest to prawda, której jakkolwiek nie aprobują pedagogiczne teoryje, to jednak potwierdza ją życie, z nią przeto pedantycznie liczyć nam się potrzeba. Aby jednak samo uwzględnianie tej prawdy wydać mogło rezultaty praktyczne, aby pedagogija domowa nie zawiodła nadziei lecz przeciwnie wydała pożądane owoce, aby dostarczała jak najwięcej *myślących* obywateli kraju, musi przedewszystkiem wesprzeć się na jednym zasadniczym warunku, który właśnie artykułu niniejszego ma główny stanowić przedmiot, a którym jest *wybór nauczycieli domowych*.

Kiedy przed oczyma rodziców staje jedno z najważniejszych zagadnień; to jest, kiedy dziecko dochodzi do jedenastego lub dwunastego roku, a epoka ta dopomina się o umysłowe prawa człowieka, wtedy rodzi się zwykle pytanie co do wyboru edukacyi. Szkolna czy domowa? Jak dotychczas znaczna większość rodziców staje, zwłaszcza gdy idzie o synów po stronie pierwszej. Nie wchodząc na teraz dlaczego tak jest i o ilę tak być powinno, zwrócimy się natomiast wprost do wybierających edukacyją domową, których znów wypada nam podzielić na dwie kategoryje: obstających przy wykształceniu domowym, dlatego aby ich dzieci nie mieszały się z pospólstwem i pod okiem mamy formowały się na ogładzone salonowe głupiątka—i obierających takież wykształcenie dlatego, że czy to położenie materyjalne, czy też inne okoliczności nie pozwalają na edukacyją szkolną. Gdybyśmy kategoryi pierwszej chcieli prawić o wyborze nauczycieli, wybralibyśmy się jak „z motyką na słońce.“ Ta garstka kosmopolitów sprowadzająca zagranicznych oświecicieli i przeznaczająca na przewodniczki swym dzieciom pokojówki paryskie, ta garstka wynagradzająca sowicie niemców, anglików, szwajcarów, francuzów, a polakom dająca etat lokaja, ta garstka umysłów pustych, za zbyt jest zasklepiona w modnej niegdyś i modnej dziś bladze by do niej słowa dyktowane duchem i potrzebami czasu, dyktowane niepokojem o los przyszłych pokoleń i życie właśnego społeczeństwa dojść od nas mogły.

ŚLADY ŻYCIA.

XLV.

Tyle życia, ile... w czynie.

Sieradz 2 Października 1874 r.

O czym tu pisać jak nie o pożarze?... Otóż w dniu 19 b. m. o godzinie 5½ wieczorem w mieścinie Złoczew, w naszym powiecie położonej, z niewiadomej dotąd przyczyny wszczął się ogień. Niebezpieczne położenie kilku zabudowań, które w mgnieniu oka stały się pastwą płomieni, było przepowiednią większego nieszczęścia i hasłem ogólnej rozpaczy między mieszkańcami. Dla ratunku postanowiono zwalić co prędzej sąsiednie budynki; lecz to wcale nie pomogło, gdyż brak wody i niedostateczna liczba sikawek, tamować skutecznie ognia nie pozwoliły. Takim sposobem mimo wszelkich usiłowań ludności w przeciągu trzech godzin zgorzało do szczętu 38 drewnianych domów ze wszelkiemi do nich należącymi budynkami i znaczna część ruchomości nie mogących być wyratowanemi. Oprócz tego bardzo stary kościół klasztorny masiv murowany w niwecz obrócony został. Ofiarą tak strasznej klęski po większej części padła najbiedniejsza klasa izraelska i nędza tam panująca trudna do opisania. Z wyjątkiem jednego zamożnego kupca na rs. 3,000, żaden z pogorzelców nie był asekurowanym.

Dziedzic dóbr Złoczew P. Dobrowolski, chętnie niesie pomoc nieszczęśliwym, bądź w ofiarach materyjalnych, bądź w dostawie żywności. Nazajutrz po pożarze tu w Sieradzu zbierano składki dla nieszczęśliwych. Gmina Izraelitów natychmiast po otrzymanej wiadomości, przesłała ze swej strony znaczną liczbę pieczywa, okowity i oprócz tego pewną kwotę, dla powiększenia której nawet uboga klasa z swym wdowim groszem na ofiarny ołtarz poświęceń pospieszyła.

Liczba uczniów w tutejszym progimnazyjum z bieżącym rokiem szkolnym, powiększyła się o 25, poprzednio było ich tylko 83, teraz zaś 108 będzie. Nauczycieli jest 7, a mianowicie: pan Latour, zwierzchnik szkoły wykłada arytmetykę, algebrę i geometryją, oprócz tego lekcye rysunków we wszystkich klasach. JKs. Mikołajewski, religiję; p. Raczyński łacinę, język polski i historyją powszechną; p. Dębosz: język francuski, grecki i polski w wyższych klasach; p. Łukawiecki: język niemiecki; p. Feliński: język ruski i arytmetykę; p. Tatur: botanikę i język polski w klasach niższych.

Szkół żeńskich 2; uczennic tak w jednej jako i drugiej jest po 24. Czy się jednak dwie szkoły wyższe, między przedstawicielkami, których zacięta panuje walka o pierwszeństwo, utrzymać zdołają, z pewnością nie można określić. Według wszelkiego jednak prawdopodobieństwa, jedna z nich ustąpi drugiej, bo

Niech sobie koteryja ogłupionych, sprowadza całemi tuzinami, dla ogłupienia również ich dzieci przeznaczone szwajcarki, niech się tym sposobem dosługuje coraz liczniejszego politowania i liczniejszej pogardy, my chcemy pomówić z tymi, którzy pragną swe dzieci *oświecać* w domu, którzy pragną je kształcić na pożytecznych członków ogółu, dla których przeto i wybór nauczycieli jest kwestyją pierwszorzędnej doniosłości i wagi.

Czego od nauczycieli mamy prawo wymagać? Zamiast odpowiedzi wprost, zmieńmy pytanie. O co w edukacyi nas zajmującej najprzeważniej iść winno? Otóż zdaniem naszym, jak w całej sferze wychowania tak i w edukacyi domowej plan nauczycielski winien mieć za podstawę dwie rzeczy: 1) rozbudzanie władzy *samodzielnego* myślenia i 2) otwieranie oczu na sprawy i obowiązki społeczne.

Co do warunku pierwszego, to ważność tegoż zanadto jest widoczną, byśmy mieli wdawać się w szerokie na tym punkcie rozprawy. Obejrzyjmy się po za siebie i rzućmy okiem przed siebie, rozbierzmy przeszłość i zastanówmy się nad przyszłością a chwila ta rozwagi przyprowadzi nas niezawodnie do ostatecznego wniosku, że tak to cośmy stracili jak i to co zyskać jeszcze możemy, że żal za tym co było i nadzieja tego co być może, wiąże się ściśle z owym pierwszym punktem wychowawczej metody z przygotowywaniem naszych dzieci do samodzielnego myślenia i życia z wyrabianiem w nich umysłowej niezależności. Gdybyśmy w miejsce całych zastępów kształconych a jednak biernych, mieli odpowiednie szeregi ludzi samodzielnych, ileż w takim razie uniknęlibyśmy klęsk i zawodów, ile zyskali rękojmi co do lepszej przyszłości! Lecz jeżeli ten potężny wzgląd wychowania pomijaliśmy dotychczas, jeżeli nie liczyliśmy się z potęgą jednostkowej samodzielności i przygotowywaliśmy tym sposobem zbiorową *bierność*, to dziś gdy błąd ten pedagogiczny ujawnił się nam już w całej sile bolesnych przejść i fatalnych następstw, winnibyśmy zwrócić się (póki czas jeszcze) na ową tak lekkomyślnie opuszczoną drogę, winnibyśmy z przeświadczenia uwierzyć, że o tyle nasza egzystencyja i nasze szczęście ogólne jest możliwym w praktyce, o tyle możemy uniknąć ostatecznej ekonomicznej ruiny a przyjść do zamożności i siły— oile do metody nauczycielstwa wprowadzonym zostanie pierwiastek samodzielności, o ile zamiast nakręcanych maszynek, produkować będziemy istoty niepodległej myśli i samodzielnego czynu. Mówiąc jaśniej i krócej, każdy ojciec i matka o tyle zapewnić mogą szczęście własnego dziecka i szczęście społeczeństwa o ile w wychowaniu i edukacyi najdroższych sobie istot, uwzględnią potrzebę stosowania *najnowszej* a obowiązującej już dziś wszędzie pedagogicznej metody, metody *przyzwyczajania wychowanka do samodzielnego myślenia.*

Co się tyczy warunku pedagogii domowej drugiego, co do wszczepiania w młode umysły i serca poczucia obowiązków społecznych, to takowy mniej może aniżeli pierwszy uwzględnianym zostaje i dlatego też, mimo ożywiającego się dziś ruchu w zakresie rozpatrywania potrzeb i stosunków miejscowych, ludzie, którzyby na stosunki te patrzyli okiem trzeźwym i jasnym; którychby interesowało *wszystko co w ich kraju się dzieje*, którychby co więcej do interesowania się takiego, zniewalał rozumnie pojęty obowiązek obywatelski, ludzie powtarzamy *tacy* dziś jeszcze do wyjątków zaliczani być mogą. Całe jeszcze, rzec można, inteligentniejsze masy, więcej nierównie obchodzą gabinetowe narady Bismarków i powstanie karlistów i rewolucyje Japończyków aniżeli interesowaćby ich mogły najniezbędniejsze instytucyje miejscowe, aniżeli potrafiłby ich zająć stan krajowego przemysłu handlu rękodzieł i t. p. I nic w tym dziwnego. Wszakże ludziom tym w dzieciństwie, w epoce najwłaściwszej do przyjmowania wszelkich wpływów zewnętrznych, nie otworzono oczu na sprawy, cele i obowiązki społeczne, nie wprowadzano do ich pojęć i uczuć prawdziwych zasad obywatelskości, nie nauczano ich wnikać w ruchy i dążności ogółu. A jeżeli przyznamy, że fakt podobny, to błąd jeden z najgrubszych, że sprowadzać on musi niepowetowane zarówno ogólne jak i jednostkowe straty, że społeczeństwu tamuje drogę rzetelnego postępu, a jednostki nie przygotowane do zmian wywołanych, czy to wpływem nowych warunków organicznej pracy, czy też tylko duchem i potrzebami czasu—nie nauczone zmian tych dosyć wcześnie spostrzegać, nie wiedzą co z sobą począć i marnieją w niemocy; to nie pozostanie, jak tylko zakląć wszystkich uczciwie myślących rodziców, zakląć ich imieniem przyszłości ich dzieci, by uwierzyli, że dziś nadewszystko, obok wykształcenia umysłowego, wykształcenie społeczne; obok edukacyi książkowej, wczesne otwieranie oczu na sprawy i interesa kraju, stanowić winno jeden z rdzennych czynników wychowania, że na ten punkt pierwotnego kształcenia należy im zwracać szczególniejszą uwagę.

Umyślnie zboczyliśmy nieco od głównego przedmiotu, umyślnie w ten sposób postanowiliśmy kwestyją by tym łatwiej przyjść do porozumienia. — Wiedząc o co głównie w wychowaniu młodzieży w ogóle a w pedagogii domowej w szczególności iść winno; wiemy tym samym czego od nauczycielstwa domowego mamy prawo wymagać. Wiedząc zaś znów i jedno i drugie, nic już łatwiejszego jak określić i zdefinijować ostatecznie na czym wybór nauczycieli (naturalnie i nauczycielek) ma głównie i przedewszystkim polegać.

Pedagogija domowa ma wyrabiać samodzielnych ludzi i rozumnych obywateli, nauczyciele więc obok wykształcenia książkowego muszą obydwie te dążności pedagogiczne— jak najściślej uwzględniać i do uwzględnienia ich takiego odpowiednio, być przygotowani —muszą *umieć*, przeprowadzać to w rzeczywistej praktyce. Usunąć zapleśniałych *rutynistów* a przyjmować i protegować pedagogów w całym tego słowa znaczeniu, *postępowych*,— pedagogów nie przywiązanych ślepo do zasady jednej lub szukających po omacku innej, lecz znających i studyjujących sumiennie — najnowszą wychowawczą metodę, oto punkt, stanowiący *dziś* ostatecznie o wyborze nauczycieli domowych. — Ktokolwiek na wszystko cośmy dotychczas powiedzieli zgodzi się w zasadzie— ten i kwintesencyi tej nie potrafi zaprzeczyć. Nauczycielstwo domowe, mając wolne pole, nie może dziś zasklepiać się w pedantycznych formułkach nie może ograniczać się na zadawaniu lekcyj „stąd dotąd" — ale przeciwnie jeżeli, ma osiągnąć swój cel i swoje specyjalne zadanie, musi wyrastać i rozwijać się na gruncie potrzeb społecznych—musi z potrzebami temi najsumienniej się liczyć.— Czy jednak tak a nie inaczej się dzieje? czy rodzice pozostający przy edukacyi domowej,— zwracają dostateczną uwagę na odpowiedni, to jest określony tu przez nas wybór nauczycieli? Niestety! prawie nigdy.— Większość rodziców pyta się jedynie gdzie zgłaszający się kandydat na nauczyciela koń-

---

jak słychać na mocy postanowienia Władzy naukowej, ma zostać zamkniętą.

Trupa podróżujących aktorów pod przewodnictwem p. Zamojskiego dała tu znowu kilka przedstawień. Między innemi odegrano: d. 11 paźdz. „Pani Kasztelanowa" „Północnym pociągiem„ i "O chlebie i wodzie." Dnia 13 t. m. „Stary Mąż" kom. w 4-ch aktach Korzeniowskiego Dnia 18 „Szpieg Bonapartego" i krotofilę p. Wacława Szymanowskiego „Na ulicy." D. 22 „Okrężne i On niejest zazdrosny". Ostatnie przedstawienie w dniu 25 b. m. składało się z „Wuja i siostrzeńca" „Przyjaciółek" i „Błażka opętanego."

Tym razem jakoś *kiepsko* Melpomena nad swemi ulubieńcami czuwała. Personel znacznie się pomniejszył, gdyż składa się tylko z 20 osób, między któremi figuruje p. Sulikowski, były dyrektor prowincyjonalnej trupy, przybyły z familiją z Opoczna.

Stąd powędrowali napowrót do Łodzi, celem zasilenia funduszów towarzystwa, skąd w styczniu powrócą do Poznania, nabywszy klejnocik w nadzwyczajnie drogiej perełce, jakim parobek Wałek w „Błażku opętanym" z dodatkiem wszelkiego sensu i rytmu pozbawionych fars, tutaj okrzyczanym został.

W drugiej połowie listopada dane będzie przedstawienie amatorskie; o odegranych sztukach w swoim czasie donieść wam nieomieszkam.

Maksymilijan Kempiński.

* * *

Środków kształcenia się młodzieży przybywa nam potroszę. Tak np. w Szczuczynie mimo pewnych opozycyjnych głosów nastąpiła jednakże zgoda i 4 klasowe progimnazyjum p. Łady funkcyjonuje, licząc już obecnie 70 uczniów. Takaż sama szkoła otwartą została pod kierunkiem p. Kownackiego we Włocławku; w powiatach: Konińskim, Kolskim i Słupeckim dozwolonym zostało zbieranie dobrowolnych składek dla utworzenia odpowiedniego funduszu w celu założenia 4 klasowego progimnazyjum męskiego w Koninie; wreszcie w Kielcach za staraniem mieszkańców, przy tamecznym progimnazyjum żeńskim otwarto dodatkową klasę piątą i t. d. Ta krótka notatka świeżo powstałych jak i powstających naukowych zakładów zdaje się popierać to cośmy przed chwilą powiedzieli, że środków kształcenia się młodzieży przybywa, ale tego nie dosyć. Znamy jedno i to z większych nawet miast prowincyjonalnych, w którym potrzeba progimnazyjum męskiego, sama za sobą przemawiała. Jakoż mieszkańcy potrzebę tę zdawali się rozumieć i ocenić, myśl założenia nowej szkoły, poparli czynnie i chętnie, wreszcie fakt został dokonanym, progimnazyjum otwarto. Wkrótce atoli zapał mieszkańców począł stygnąć, miejsce popierania tak wielce przedtym pożądanego zakładu, zastąpił pewien rodzaj obojętności i niestety okazało się, że opłata pobierana od uczniów nie wystarcza na zaspokojenie kosztów utrzymania szkoły i że dla wypełnienia niedoboru, należy aż uciec się do filantropijnych środków. Nie przesądzamy bynajmniej, by te same nie wesołe koleje losu przechodzić miały i inne progimnazyja prywatne; zdaje nam się jednakże, że aby dana, tego rodzaju szkoła, zyskać od razu mogła grunt pewny i rozwijać się z rzeczywistym pożytkiem: potrzeba obok dobrych chęci mieszkańców i rozumnego a *wytrwałego* z ich strony popierania zakładu. Niech każdy ojciec i matka czują się w *obowiązku* korzystania z przybywającego dla ich dzieci edukacyjnego środka, niech posyłania dzieci nie odkładają ad meliora tempora, a progimnazyja prywatne nie tylko, że nie będą potrzebowały filantropijnych podpórek, ale co więcej, to powodzenie jednych stanie się bodźcem do powstawania następnych, jak znów (czego uchowaj Boże) upadek jednego może zabić dziesiątki projektowanych, a tego przecież czasby było się ustrzedz!

* * *

czył szkoły, lub też czy i kogo uczył poprzednio, nie pyta zaś bynajmniej, o jego pedagogiczną metodę—nie wgląda czy metoda ta jest zapleśniałą czy postępową, czy przeto dzieci ich przemienione zostaną w wyuczone maryjonetki, czy też kształcić się będą na samodzielnych ludzi. Nie potrzebujemy w tej mierze powoływać się na dowody bo takowe każdy z łatwością znajdzie, a zaznaczając natomiast sam fakt, chcielibyśmy by takowy wszyscy pragnący szczęścia swych dzieci, i dalej widzący rodzice, wzięli więcej do serca, i na wybór nauczycieli z innego niż dotychczas spojrzeli punktu, by zrozumieli jasno i pojęli, z całą mocą przekonania, że od wyboru tego zależy cały skutek edukacyi domowej, że co więcej, to zależy kierunek przyszłego pokolenia i suma żywotnych sił narodu.

„Wszystko to może być prawdą zauważysz zapewne czytelniku, lecz czy samo dokonanie wyboru o jaki w tej chwili idzie jest tak łatwym, aby go już stanowczo należało się trzymać, czy jest wielu pedagogów, pojmujących całą doniosłość swego zadnia, i traktujących swój zawód ze stanowiska wyżej określonego, ze stanowiska rzetelnego postępu?— Zapewne, o nauczycieli podobnych nie jest dziś jeszcze zbyt łatwo, liczba ich jest arcy skromną;—lecz też i usunięcie co do tego trudności, spoczywa prawie wyłącznie w ręku samych rodziców.

Niech bowiem tylko ci ostatni, podnosząc moralne i materyjalne stanowisko „domowego nauczyciela“—nie sprzeciwiają się jego nowatorskim byle zdrowym dążeniom, niech przeciwnie dążności takie popierają z nim wspólnie, niech zresztą nie pozwalają kształcić dzieci inaczej, jak tylko *zgodnie z potrzebami własnego społeczeństwa i wymaganiami najnowszych zasad pedagogii*, a i sam wybór nauczycieli o wiele ułatwionym zostanie, stanie się nawet łatwym o tyle, o ile liczba bakałarzy-zacofańców zmniejszać a liczba pedagogów postępowych odpowiednio zwiększać się będzie.

CHŁOPSKA SPRAWIEDLIWOŚĆ.

OBRAZEK Z ŻYCIA GALICYJSKIEGO

PRZEZ

M. Sacher-Masoch'a.

(Ciąg dalszy).

Skoczyłem na konia i pogalopowałem na czele moich ludzi prowadzących ze sobą pompy, bosaki, drabiny i wiadra. W drodze wymijaliśmy wieśniaków spieszących gromadkami lub pojedynczo na miejsce wypadku. Większa część ich nawet odziać się nie miała czasu.

Już trzy kolumny ognia wzbijały się ku niebu, jakby podtrzymując baldachim czarnego i gęstego dymu. Dzwon wciąż jęczał na trwogę, psy wyły. Zdala dolatywały pomieszane głosy ludzkie i tentent koni.

Przybiegłem prawie najpierwszy do młyna. Pożar wybuchł jednocześnie w domu, w stodole i oborze; kłęby dymu otaczały wszystko, płomienie wyskakiwały tu i owdzie wzdłuż murów, lizały belki, wybuchały przez okna, drzwi i szczeliny dachu. Zatlona słoma roznosiła na wszystkie strony iskry, które na kształt wielkich świecących robaków błyszczały na łąkach, lub gasły upadłszy w strumień. Koła młyńskie pracowały jeszcze, wybijając rytm monotonny, ogień bowiem nie dotknął ich odpychany przez tryskającą wodę.

Napróżno z całą energiją ratowano; napróżno coraz to nowe przybywały posiłki. Wzdłuż strumienia uformował się łańcuch z ludzi; wiadra, przechodząc z rąk do rąk, dosięgały w końcu tych, którzy z drabin lub dachu nieustannie leli wodę w środek płomieni. Inni pompowali sikawki; kilku śmielszych, zanurzywszy się naprzód w wodzie, rzucali się następnie w ogień, probując bosakami rozwalić płonące belki. Bydło ryczało, konie gwałtownie targały krępujące ich więzy, kury uciekały w kierunku lasu, z całą chyżością na jaką zdobyć się mogły ich przypalone skrzydła. Na ogromnej przestrzeni wszystko było oświetlone; krzaki i ogrody wyglądały jakby okryte mgłą krwawą, strumień podobny był do wstęgi roztopionego złota.

W tej chwili z pośród szarego dymu, który całą sadybę zapełniał — wpółnaga, z rozpuszczonemi włosami, ukazała się Teodozyja, podobna do bogini Olimpu zstępującej z obłoków lub do pysznego szatana wyzioniętego przez piekło. Dzikim, obłąkanym okiem potoczyła dokoła siebie.

— To sprawka Cyryla — rzekła. Pomocy! ratunku! Gdzie Larion? Wynieście skrzynię... skrzynię czerwoną! Sto reńskich dam za nią!

Larion przybiegł; brwi i włosy jego były przypalone, twarz czarna od sadzy.

— Gdzie jesteś Teodozyjo?

— Wynieś skrzynię! powtórzyła no nowo. Są tam nasze papiery i w niej trzy tysiące reńskich.

Larion znikł w dymie.

— Do mnie! zawołała Teodozyja.

Schwyciwszy ciężką żerdź, probowała wywalić drzwi domu. Pospieszyłem jej na pomoc, gdy nagle dał się słyszeć straszny okrzyk:

— Na bok! dach spada!

Odciągnąłem Teodozyję, dzielna młodzież stojąca na dachu poczęła zeskakiwać lub zsuwać się na ziemię. W tej chwili rozległ się groźny, choć niewyraźny grzmot, młyn zachwiał się na fundamentach i płonący dach runął.

— Gdzie Larion? zawołała Teodozyja. Czy zginął?...

Poczęto go szukać pod rozpalonym rumowiskiem, lecz napróżno; nie było go ani w sadybie, ani między tymi, którzy formowali łańcuch. Na koniec znaleziono go po za domem, powalonego na grzbiet; krew płynęła mu z czoła tworząc na koszuli ogromne skrzepy. Obok niego leżała skrzynia, lecz rozbita i pusta.

— Nie żyje! zawołano.

— Kto?

— Larion.

Teodozyja rzuciła się na trupa.

— Widocznie belka uderzyła go w tym momencie kiedy szukał papierów, — rzekł Hryń Jaremus. Oto jest skrzynia.

— Cyryl go zabił! krzyknęła Teodozyja. Przypatrzcie się ranie... kufer także próżny. On ukradł papiery... on go zamordował!

Przestaliśmy gasić ogień. Budowle padały jedna po drugiej. Wkrótce młyn Teodozyi tworzył już tylko stos gruzów z pośród których wydobywał się dym i płomienie; ona zaś, siadłszy na kamieniu i wsparłszy na rękach

---

„Gazeta Lekarska w jednym z ostatnich numerów donosi, że w dniu 22 Września r. b. miało miejsce we Wrocławiu w obec członków zjazdu lekarskiego *pierwsze spalenie* trupa ludzkiego. Tak więc kwestyja palenia ciał zmarłych mimo silnej opozycyi postępuje jednakże naprzód, zbliża się nawet jak widzimy do nas a może wkrótce już i Warszawa zostanie świadkiem uroczystości podobnej! Ważność i pożyteczność sprawy tej dla ogółu, w wielu już miejscach ostatecznie podobno skonstatowaną została, a ten skutek w największej może części przypisać należy wdaniu się i wpływowi lekarzy. Mamy i my również zastęp synów Eskulapa, ale w sprawie palenia ciał jak dotychczas milczących. Czy długo milczenie to potrwa, nie podobna przewidzieć; to tylko zdaje się być pewnym, że głos pp. lekarzy naszych w kwestyi dotyczącej interesu ogółu, nie byłby wcale nie na miejscu.

* * *

Zgadnijcie też czytelnicy ile w roku bieżącym przybyło nowych domów w Warszawie? Oto ni mniej ni więcej tylko, licząc z oficynami, *dwieście*. I cóż stąd? Czyżby fakt ten miał się przyczynić do obniżenia komornego? Niestety co za naiwne pytanie. Domy przybywają swoją, a kamieniczniki obdzierają lokatorów swoją znów drogą. Jeżeli jednak sięgnęlibyśmy do gruntu tej anomalii, to przekonalibyśmy się nie wątpliwie, że bodaj czy nie główną jej przyczyną jest *nieuwzględnianie*, odnośnie do kwestyi mieszkań, potrzeby *rzeczywistej* a jaką stanowią lokale dla klas mniej zamożnych i w ogólności średnich. Mieszkań mówimy takich, brak jest w Warszawie wielki i brak ten z każdą chwilą dotkliwiej uczuwać się daje, a tymczasem zamiast mieszkań o 2-ch lub 3-ch pokojach, przybywają „apartamenty“ z 7, 8 lub 10 salonów i saloników złożone, Idąc dalej tą drogą, możemy nie zadługo widzieć całe nawet kamienice bez lokatorów, podczas gdy w innych lokatorowie stanowić będą zawsze i stały i pewny łup wyzyskiwaczy. Ale trudno... Czegoż, bo po naszej przedsiębierczości i znajomości potrzeb „*miejscowych*“ spodziewać się nie można!

* * *

Jak wiadomo, przed paru jeszcze laty powstała dzięki inicyjatywie p. Wiśniewskiego pierwsza u nas prowincyjonalna czytelnia w Pińczowie i na pociechę ludzi dobrze myślących istnieje ona dotychczas z nie małym naturalnie pożytkiem. Lecz czy wiecie komu czytelnia egzystencyją swoją głównie zawdzięcza? Oto jak donosi „Gazeta Kielecka“ prawie *wyłącznie kobietom*. Kobiety *tylko* same czerpią tu światło nauki i pożywnej wiedzy, a... a mężczyzni co robią? Mężczyzni także czerpią, ale nektarek gambrynusa w pińczowskich knajpach lub miłego węgrzynka ze sławnych (!) piwnic miejscowych.

* * *

Na polu dziennikarskim z początkiem „Nowego roku“ nowy ma nam przybyć koleżka. Imię jego „*Nadwiślanin*“ a siedziba *Płock*. Projekt założenia pisma w Płocku jeżeli się nie mylimy, przez lat cztery powstawał i upadał; teraz jednak ostatecznie przyjść ma do skutku i cieszy nas to prawdziwie. Organy prowincyjonalne mają wdzięczną do uprawy niwę, wzniosłe przed sobą zadanie i nie małą szansę wywierania dodatniego wpływu. Czy więc i przyszły „Nadwiślanin“ misyją swoję pojmie i oceni z właściwego punktu? Obyśmy o tym co rychlej przekonać się mogli. Tymczasem zaś odwagi, zamiłowania postępu i tysięcy prenumeratorów z serca, narodzić się mającemu życzymy. Rodzicem i kierownikiem pierwszych kroków „Nadwiślanina“ będzie p. *Józef Dunkel*.

twarz bladą i skamieniałą, pozostała tak nic nie widząc, nie słysząc, nie wymawiając ani jednego słówka:... lecz i nie płacząc.

VII.

Nazajutrz bardzo wcześnie udałem się na miejsce pożaru. Jakże piękny poranek rozbudził się nad temi smutnemi zgliszczami, skąd ciągle tryskały iskry i wydobywał się dym podobny do oddechu piekieł! Wesoły jak dawniej strumień płynął, niby na pośmiewisko obracające resztki młyńskiego koła; skowronek wzlatywał ku bezchmurnemu niebu, którego widok pierwszy raz dopiero napełnił mnie nieopisaną goryczą. Natura nic nie wie, nic nie chce wiedzieć o człowieku, jego rozpaczy i nędzy; owszem, zdaje się nawet szydzić z niego spokojnym i uroczystym blaskiem swojego słońca!

Zbliżyłem się stąpając po schodowatych stosach ruin, i nie zważając na drugą istotę żyjącą, na białego psa Teodozyi, który opuściwszy głowę, spoglądał na mnie dziko, warczał, wyszczerzał zęby, a wreszcie odszedł. Idąc ścieżką zasianą gęstą warstwą przypalonego zboża, dosięgłem na koniec wielkiego kamienia na którym siedziała Teodozyja, tak samo jak w nocy patrząca na swój spustoszały majątek. Zacząłem do niej mówić, nie odpowiedziała mi; zawołałem na nią po imieniu, spojrzała na mnie bezmyślnie i opuściła głowę.

Jednocześnie, w sąsiednim krzaku, ukazała się twarz blada lecz obojętna z gorączkowym ogniem w oczach. Był to Cyryl.

— Teodozyjo! zawołał.

Na dźwięk tego głosu zadrżała.

— Oszalałaś kobieto? rzekł złodziej wstrzymując ją za ramię.

Teodozyja odwróciła się, rozwścieczona, zgrzytając zębami, ściskając pięście; jej oczy krwią nabiegły.

— Cóż porabiasz? spytał zimno Cyryl... żyjesz jeszcze?..

Teodozyja milczała.

— Otóż, Bogu dzięki, drugi raz zostałaś wdową. Wkrótce będziemy obchodzić nasze wesele! Teraz jesteśmy biedni oboje, biedni jak kościelne szczury;... no chodź! Nie chcesz? Czekam na ciebie w szynku, z memi kolegami, czekam na ciebie, żebraczko, pawico, z piór obdarta! Możesz teraz prosić Cyryla, ażeby ci dudka zastąpił. Cha! cha! cha!

To powiedziawszy odwrócił się i począł śpiewać:

Była sobie dumna sroka, dumna sroka,
Co wyszła za dudka.
Hu! ha!..

— Odejdź stąd! rzekłem do niego.

— Idę, idę! Więc w szynku mój skarbie!. zawołał, leniwie posuwając się wzdłuż ścieżki.

Milczała ciągle. Długo jeszcze po zniknięciu Cyryla słyszeliśmy pieśń jego; wiatr przyniósł nam wreście ostatnie: *hu! ha!..*

Wkrótce sąsiedzi i wieśniacy poczęli się zbierać dla zobaczenia resztek pożaru. Otoczyli wdowę: ten przyniósł jej miseczkę zupy, ów chleba kawałek, inny kurczątko, jeszcze inny trzewiki i odzienie. Kobiety całowały ją, starając się pocieszyć. Cała gmina zgromadziła się tu. Mężczyzni, kobiety, dzieci, rozmawiały ze zgrozą o klęsce pożaru, lecz nikt nie ośmielał się podnieść głosu; do koła rozlegały się westchnienia i jęki. Mały Hryń usiadłszy na ziemi, przetrząsał gorący popiół.

Nagle powstała Teodozyja, obejrzawszy się do koła, wzięła jeden pakiet odzieży, wydobyła z niej ze smutnym uśmiechem wełnianą spódnicę, potym oblekła nagie ramiona w rękawy starego i brudnego kaftana, odrzuciła w tył i w jeden duży węzeł zebrała włosy i poszła do strumienia aby tam umyć twarz i ręce. Zrobiwszy to, weszła zwolna na ścieżkę idąc wzdłuż płotów, jakby dla uniknięcia ciekawości tłumu.

Przy drodze stał krzyż. Teodozyja uklękłszy przed nim modliła się gorąco. Patrzyłem na nią z uczuciem głębokiej litości; dostrzegła to.

— Będziesz pan mógł odtąd dawać mi jałmużnę—rzekła wyciągając rękę—jestem już żebraczką.

— Wszystko jeszcze można naprawić — wtrącił stary Jaremus.

— Jakim sposobem? spytała z fizyjognomiją apatyczną i znużoną.

— Sąsiedzi wam pomogą, my także, cała gmina. Czyliż nie pomoglibyście nam, gdybyśmy byli w potrzebie?

— Niewątpliwie.

— A więc odwagi tylko!

Wstrząsnęła głową z ponurą rezygnacyją.

— Czy to wszystko co mi możecie powiedzieć? A zbrodniarz czy ma pozostać nieukaranym? Mamyż czekać na pomoc sądów, albo nawet samego Boga, który jest w niebie?

— Nie, to tak być nie może! zawołał nagle Hryń, który z silnym zajęciem przysłuchiwał się rozmowie. Szybko jednak odskoczył, jakby własnemi przestraszony słowami.

— Czegóż więc chcecie Teodozyjo? spytał starzec, podnosząc z ziemi węgiel, którym zapalił fajkę. (d. c. n.)

Odpowiedź Maryi Szeligi

na list

P. Elizy Orzeszkowej.

Za współczucie dla mojej Emilii, i zajęcie się jej losami winnam Pani wdzięczność, że zaś nie osobistą, więc nie waham się jej publicznie wyrazić. Biedna sierota *bez opieki* znalazła w Pani pierwszej, szlachetną i rozumną Opiekunkę, której niestety brakło jej przez cały ciąg bolesnego jej żywota. Tak bywa często na świecie: w aksamitnej i srebrem świecącej trumnie spoczywa człowiek któremu brak powszedniego chleba odjął możność exystencyi, poświęconej całkiem dla dobra ludzkości, która nigdy nie spieszy się z wypłaceniem swych długów dobroczynnemu kredytorowi, lub wytrwałemu pracownikowi swemu. Ten człowiek, Marta Swicka, moja Emilija— należą do jednej duchowej rodziny; jest ona liczna i niewygasła, członkowie jej bliźniaczo do siebie podobni, a ledwo jeden złamie się fizycznie i moralnie pod ciężarem sztandaru postępu który całą siłą podtrzymuje, wnet inny zajmuje to samo stanowisko, z nowym zapasem mocy, zapału, nadziei — i orszak ten, walczący w głuchej ciszy, ledwo niekiedy rozświetlony pochodnią wiedzy — przeciąga powoli po gościńcu społecznym zawalonym: skałami trudności, gruzami przesadów, cierniem złośliwości; i ziejącym duszną atmosferą obskurantyzmu.

Stojąc nad mogiłą Marty, jednej z siostrzyc rodziny pionierów, składając jej wieniec żałobny lecz z wiecznie zielonych uwity gałązek — postrzegłaś Pani opodal drugą, świeżą a tak podobną mogiłkę, iż spytałaś o jej dzieje.— Kryła ona dwa trupy — jeden z nich miał być istoty niedawno pełnej sił, życia, zdrowia, myśli i uczucia — z żalem spojrzałaś Pani na miejsce które opuściła dzielna pracownica, i — ujrzałaś je jak dawniej zajęte — taż sama postać! też same czynne ręce! Wątpliwość pełna nadziei wstąpiła w serce.

— Więc ona nie umarła? — zapytujesz Pani obecnych z wymówką o wieść smutną a fałszywą.

Patrzący na to, złudzeni podobieństwem, potwierdzili domniemania Pani. Ale i tu zaszła pomyłka — oni widzieli kogoś innego, każde z nich w inną patrzyło stronę, tożsamość rysopisu i brak daty urodzenia Emilii, dozwalała im brać osoby z nią spokrewnione, za nią samę. Stąd różnorodność wiadomości jakie Pani otrzymałaś.

Co do przyjaciółki Pani... tej powiem za pośrednictwem Pani, kilka słów na końcu, zostawiając to sobie, jako przyjemność. Teraz wracam do mego obowiązku sprawozdania do którego zostałam wezwaną.

Emilija — istotnie umarła. Dla tej wyczerpanej gorączką bólu i pracy istoty, z starganemi siłami, z rozstrojonemi nerwami, z piersią nadwątloną chłodem, niedostatkiem, zbytecznym pochylaniem się po całych nocach nad książką, wreszcie łkaniem tłumionym — życie było nie możliwe. Dziedziczny zaród choroby dokonał reszty. Emilija umarła — lecz czy uwierzy mi Pani! ja jej nie żałuję że umarła, a szczególniej po przeczytaniu wersyj, podanych mi przez znajomych Pani. Więc — pomyślałam, gdyby siła fizyczna nie złamała się złowrogiemi wpływami — ta nieszczęśliwa, czysta, dumna, choć nieopatrzna dziewczyna, byłaby zaparła się swego *ja*, opromienionego męczeńską aureolą cierpień przebytych, starła znamiona wyższości i piękna — i z udaną twarzą weszła w tłum który ukrzyżował jej ideały? służyłaby niewolniczo, pogardzanym przez swe przekonania wyznawcom fałszywej wiary? Oddałaby się katom swej siostry? podałaby swą zranioną dłoń do uścisku w aksamitno-kocie łapki pani Zefiryny, lub zbrukanego adonisa? Wsączyłaby w swe niezagojone blizny jad sybarytyzmu, próżności, rozpusty?

Oh! szkodaby jej było wtedy! Szkoda jej! szkoda młodszych dziewcząt z tej rodziny, co zamiast podany wzór utrwalić, wykształcić i prześcignąć — nie zadawałaby sobie nawet trudu wstępowania na inną od utartej ścieżkę, boć widziałaby, że się na tę samą później ze wstydem powraca.

Ogarnęło mię wrażenie nad wyraz przykre— wyobrażałam sobie Emiliją w rolach przedstawianych kolejno — i serce moje ściskało uczucie wielkiego bólu.

Z tego stanu, wyrwała mię swemi słowy zacna przyjaciółka Pani. Jak po śnie dręczącym, pokrzepił mię sen błogi. Ujrzałam moję Emilję, z twarzą pogodną, rozjaśnioną spokojem wewnętrznym, wypięknioną nadzieją i zdrowiem fizycznym i moralnym. Lecz zbudziłam się prędko, i nim dostrzegłam dowód mistyfikacyi, poznałam już, że podano nam do oczu teleskop, przez który rozróżniamy obrazy niezmiernie dalekiej przyszłości. Niby z wyżyny obserwatoryjum astronomicznego, ujrzałyśmy, za pomocą szkieł umiejętnie złożonych światy, których ogół nie postrzega gołym okiem, a które nie mniej przecież istnieją, i nauka a praca może kiedyś ułatwią nam z nimi komunikacyją. Wtedy...

Miło to jest sięgać myślą w te urocze wyżyny — lecz rzeczywistość jest przedmiotem, którym obecnie zająć mi się wypada.

Otóż — przyjaciółka Pani *umyślnie* położyła datę przyszłości — lecz znajomi, *pomylili* się, sądząc że Emilija obecnie liczyłaby się do osób starych.

Emilija Miroszewska jest dzieckiem ducha wieku. Urodziła się w chwilach pierwszego świtu samodzielności dla kobiet, wynikłej z potrzeb ogółu, a może z niedocieczonej kolei przeznaczeń ludzkości. Umarła w roku 1873, mając ledwo lat 21. Gdyby żyła obecnie, los jej nie rozstrzygnąłby się jeszcze, tak jak niepewnym jest los jej następczyni, podobnej do niej tak bardzo, która w szeregu pionierek opróżnione zajęła miejsce. Może zarzucisz mi Pani, żem zgrzeszyła przeciw zasadzie, że co

ma żyć w pieśni, musi zamrzeć w rzeczywistości? — lecz ja nie pieśń złożyłam na temat cierpień i zawodów Emilii — jam konającą głowę dumnej dziewczyny utuliła na swej piersi — a widząc że śmierć jednostki ani na chwilę nie przerwie prac owego orszaku powołanych wyższemi celami ludzi — spotykając biegnące w prost od mogiły Emilii młode jej krewne, w te same, stopą zmarłej wyciśnięte ślady — zawołałam z głębi serca:

— O wy którzy mienicie się być przyjaciółmi ludzkości! którzy słyniecie miłosiernemi uczynkami, którzy nie opuszczacie sposobności wypowiedzenia głęboko moralnych przekonań o obowiązkach względem społeczeństwa — pójdźcie tu, i spójrzcie: ta dziewica była dobra, rozumna, piękna dążyła w najszlachetniejszych pobudkach do wzniosłego celu — i — zabiliście ją obojętnością, zawiścią, oszustwem, i nikczemnością — nie wierzyliście jej cnocie, urągaliście jej wysiłkom, wyzyskiwaliście jej łatwowierność — bo była sama, uboga, dumna, a „bez opieki." Wspomnijcie sobie także, coście uczynili z siostrą jej co wam się oddała bez walki? także to wasza troskliwość i dobro? — O wzywam was matki, siostry, żony; wzywam was naczelnicy rodzin i mocniejsza połowa ludzkości — w imię tejże ludzkości! w imię prawdy! w imię uczuć! bądźcie innemi niż dotychczas dla tych mężnych istot walczących o byt moralny i materyjalny—nie odpychajcie ich szyderstwem od ognisk waszych, lecz zachęćcie radą, szacunkiem, współczuciem — zdobądźcie się na miłość bliźniego, i wiedzcie że nikt więcej na nią nie zasługuje nad te biedne nasze dziewice „bez opieki." Zakładajcie im szkoły, ułatwiajcie im życie towarzyskie — nie dozwolcie by ginęły w waszych oczach w mękach głodu pożywienia i głodu uczuć.

Oto była myśl moja. — Może pióro mię zawiodło — może artyzmu zabrakło w uwydatnieniu szczegółów — ale chęć moja była czysta, i na prawdzie życiowej oparta.

Tak więc Pani, Marta, Emilja, otoczone kołem bratnich duchów, splotły swe dusze tkliwym uściskiem. Przeczucie serca, któremu w tym razie głos podnieść pozwalam, mówi mi że gdyby one wróciły za lat dziesiątek na ziemskie szlaki — cierpiałyby mniej trochę, żyłyby dłużej nieco — nie tyle szafowałyby zapałem, i pożytku przy warunkach bardziej przyjaznych odniosłyby część jakoś — lecz — nieskalane a smutne umarłyby z wysilenia i niedostatku. Czemu! spyta czytelnik (Pani mi tego nie da pytania). Oto moje pojęcie, tworzące do przeczuć tych pewną podstawę:

Każde dzieło nim przedstawi się światu, aby zeń czerpał naukę, uznał prawdy w nim zawarte, nakoniec nim się rozpowszechni — musi przejść niezmienne koleje; t. j. myśl, natchnienie uwidamia się w wyrazach przelanych na papier, tworzy się brulijon, potym przepisuje rękopism, następnie odbija się korekta, aż nakoniec ozdobne wydanie książki zbogaci księgozbiory. Idea postępu każda — więc i samodzielnej pracy kobiet, musi mieć tę samą rozpowszechnienia się kolej — gdyż teraźniejsze usiłowania w tym kierunku, są to jeszcze brulijony wielkiego dzieła. Powinnibyśmy jednak je szanować pomnąc na ich zasługę dla przyszłości — jestto jeden powód więcej który mię skłonił do skreślenia historyi takiego żyjącego brulijonu, aby w zbudzić sympatyję i pobłażanie nawet dla błędów, istot „bez opieki." Oto dlaczego tworząc powieść, nie obdarzyłam Emilii bohaterską wytrwałością i zwycięztwem cnoty nad przeądem. Dziś to jeszcze niepodobnym — pracujemy, walczymy, nie myśląc o wawrzynach — zyska je — trzecie pokolenie — czyli wydane na czysto dzieło, powstała przecież z poniewieranego obecnie brulijonu. Tutaj odczytuję list przyjaciółki Pani, przenoszę się marzeniem w te błogie czasy, czuję smak tych owoców których szczepie obecnie łzą gorzką polewamy — wyobrażam sobie nawet, że doczekamy tej błogiej chwili, choćby chwiejącym się krokiem, pójdziem na mogiły Marty i Emilii, i zaniesiemy im w darze wieńce chwały zdjęte z czoła ich cioteczných wnuczek, z których jedna stanęła na czele zakładu gospodarczo-przemysłowego, dla kobiet — druga jest profesorem nauk przyrodzonych w żeńskim uniwersytecie.

W ciągu tych marzeń, błysnęła mi jeszcze jedna myśl którą Pani wynurzę. Słowa przyjaciółki Pani, tak miłe, zachęcające do wiary w przyszłość, wywarły na mnie wrażenie i nie wątpię, że i biedna Emilija byłaby je przyjęła z uśmiechem i choćby konając, uniosłaby z sobą uczucie pociechy słodkiej... coś, jak kropla świeżej wody ożywiło by jej spieczone gorączką wargi. Przy Marcie, przy Emilii, nasza powieściopisarska dola, postawiła nas w rzędzie moralnych siostr miłosierdzia gdybyśmy więc, przypuszczając że w duchowym szpitalu społeczeństwa, wiele jeszcze podobnie chorych się znajdzie, sprobowały przyrządzić taki balsam dla ich ran — w postaci powieści osnutych na tle prawdopodobnych nadziei?...

Jak Pani sądzi? Odpowiadało by to naszym celom zachęcenia, wspierania, pociechy i przestrogi dla siostr pracowniczek.

Cokolwiek Pani o tem pomyśli, zastawiam się tem, żeśmy się obie zgodziły na przyjemność odniesioną z odczytania jednej karty listu Pani przyjaciołki: Leży to już w ludzkiej naturze, że wolimy światło od mroku.

Co do mnie, jeśli kiedy jeszcze skreślę mem piórem szkic rzeczywistości lub marzeń odnoszących się do dziejów kobiecych, walk i czynu — imieniowi Pani poświęcę mą pracę wydzięczając się za kwiat pamięci rzucony Jej dłonią na grób Emilji, za jednakie współczucie dla jednakich celów — wreszcie za okazaną mi sympatyję, której odpowiada w mym sercu dawno dla Niej powzięty szacunek.

Maryja Szeliga.

Korespondencyje Opiekuna Domowego.

Kraków we Wrześniu.

(Dokończenie).

Ha, rzekłem sobie w duszy może pod tą ich butą pozorną kryje się troska o jutrzejszy obiad. o utrzymanie choćby przez chwilkę jeszcze tej komedyi pozorów której koniec...

Tak rozmyślając doszedłem do sądu przysięgłych.

Wchodząc na schody prowadzące do przybytku sprawiedliwości ziemskiej, podziwiałem czystość ścian i porządek panujący na korytarzach. Budynek nie miał w sobie nic posępnego i przerażającego, najgoretsza nawet wyobraźnia nie byłaby wstanie w powierzchowności jego dopatrzyć związku z krwawemi dziejami nieszczęść i zbrodni zalegających wnętrza. Wszędzie iście niemieckie panuje ochędóstwo. Przez mnóstwo okien słońce posyła korytarzom i pokojom biurowym najpiękniejsze swoje uśmiechy. Błądzę tu i owdzie i natrafiam na jakiegoś Hofgerichtsbeamtera z sążnistym piórem za uchem.

— Proszę pana, gdzie się tu odbywa posiedzenie sądu?

— Für publik drzwi N. 7, brzmi lakoniczna odpowiedź.

Po wielu staraniach odszukuję Nr. 7.. przyciskam klamkę: znajduję się w obec ludzi dzierżących szale ludzkich losów.

Przypatrzmy się dokładnie sali sądowej.

Jestto obszerny prostokąt oświecony sześciu wązkiemi i wysokiemi oknami, przedzielony kratką drewnianą na dwie połowy. W jednej mieści się publiczność w drugiej sąd. Na przeciwko kratki, za podługowatym stołem zasiada trzech sędziów państwowych; po prawej ich stronie dwie ławki konfiguracyją i wymiarami przypominające nasze szkolne czasy, mieszczą dwunastu przysięgłych. Po lewej znajduje się ława oskarżonych i trybuna oskarżyciela publicznego, w pośrodku siedzi obrońca przy oddzielnym stoliku, tyłem do publiczności.

Takie pomieszczenie obrońcy zdaje się korzystnie określać stanowisko jego w obec sądu. O ile bowiem wnosić mogę z kilku rozpraw, które słyszałem, obrońcy krakowscy trzymają się ściśle w granicach faktu i zasady, argumentują spokojnie, przemawiają poważnie i z godnością. Mowy ich wolne są od tych ustępów wzruszających ogólnikowych na efekt obrachowanych, których pełno nasłuchać się można w sądach francuskich a często i naszych.

Oskarżyciel natomiast twarz ma zwróconą do publiczności. Niewiem czy z tego, czy też z innego nieznanego nam powodu, styl jego przedstawia się pod postacią zaokrąglonych i pełnobrzmiących frazesów. Rozbiór faktu przeplatają częste zwroty *pro domo sua*, lub sensacyjne deklamacyje nad smutnym stanem społeczności, ohydą zbrodni i koniecznością karania.

Sądzono jednę z tych spraw, które niedawno jeszcze stanowiły przedmiot zaciętej walki pomiędzy dwoma obozami prawników. W prawie karnym przedmiot ten nosi techniczną nazwę przestępnego usiłowania. Zaliczają się tu czyny wywołane zbrodniczym postępowaniem, które wszakże nie osiągnęły zbrodniczego celu, dzięki jakimbądź przeszkodom zewnętrznym. Kwestyja to zawiła i trudna. Są zbrodnie, w których całe działanie nader szybko się odbywa, zamiar styka się bezpośrednio z przygotowaniem i wykonaniem. Jak tu odnaleść liniję demarkacyjną pomiędzy czynami prowadzącemi do jednego celu? Gdzie się kończy przygotowanie a wykonywanie zaczyna? Pytania te przez długi czas zajmowały umysły teoretyków i prawodawców.

Kodeksa rozstrzygnęły to pytanie trzymając się przeważnie zewnętrznego pochodu winy. Usiłowaniem według prawa karnego, nazywa się takie działanie, które już wprost i bezpośrednio do zamierzonego celu prowadzi. W kradzieży będzie to zatym włamanie się i odbicie zamków, w otruciu, podanie trucizny, w morderstwie bronią palną, wystrzał z broni dokładnie nabitej i t. p.

Ale przysięgli teoryi prawnych najczęściej nie znają. Obowiązani są według sumienia orzekać o dowodzie winy, w danym wypadku. Sumienie ich może skutkiem tego podlegać ważnym wątpliwościom, jak to właśnie miało miejsce w procesie którego byłem świadkiem.

Robotnik w warsztatach kolei żelaznej Karola Ludwika złapany na gorącym uczynku kradzieży miedzi przez swego dozorcę, postanowił otruć go przez zemstę. Użył środka jaki miał pod ręką i wsypał do kawy czarnej przyniesionej dla dozorcy, pewną ilość sproszkowanego siarczanu żelaza czyli koperwasu. Dozorca zrażony dość gorzkim smakiem, wylał kawę na ziemię i zdrowie żadnego nie odniosło szwanku.

Badanie świadków nie przedstawiło szczególniejszego interesu.— Fakt wsypania proszku przez obwinionego, został w zupełności udowodnionym.

Całe zajęcie skupiło się około zeznań biegłych. Dwaj uczeni chemicy stwierdzili przedewszystkim, że siarczan żelaza jako środek trujący bardzo mało był badanym, ponieważ substancyi tej, jako bardzo przykrej w smaku nie zwykli używać ani samobójcy, ani mordercy. Mniejsze dozy koperwasu nie przynoszą żadnego

uszczerbku na zdrowiu, dopiero zażycie więcej niż $^1/_2$ łuta wywołuje chorobę błon śluzowych żołądka, a śmierć w zdrowym zupełnie organizmie spowodować może zażycie od 1 $^1/_4$ —2 łutów wiedeńskich siarczanu żelaza.

W naczyniu pozostałym po wylaniu kawy znaleziono osad siarczanu żelaza mniej niż $^1/_4$ łuta ważący. Biegli nie byli w stanie określić, czy osad ten był częścią soli, która nie zdołała się rozpuścić w kawie, czyli też wydzieliną soli już rozpuszczonej. Zbadanie warunków rozpuszczalności koperwasu w związku z przybliżoną ilością płynu zawartego w naczyniu, doprowadziło biegłych do wniosku, że całkowita ilość siarczanu żelaza wsypanego do kawy wynosić mogła mniej więcej pół łuta. Oskarżyciel publiczny zapytywał każdego z biełych, czy przypuszczalnym jest, aby skutkiem pijaństwa lub innych anormalnych przyczyn mógł ktokolwiek zażyć większą ilość siarczanu żelaza nie uczuwając przykrego smaku?

Na to pytanie jeden z biegłych odpowiedział przecząco, drugi przypuszczał podobną możliwość przy zupełnym sparaliżowaniu nerwów czucia.

Na tej ostatniej odpowiedzi obrońca pogwałconego porządku społecznego, oparł oskarżenie przeciwko podsądnemu o usiłowane skrytobójstwo. Usiłował przedewszystkim zatrwożyć umysły przysięgłych ponurym obrazem demoralizacyi klas roboczych, „które wyparłszy się zasad religii nie mają już miary cynizmu i zuchwalstwa." Obwiniony jest robotnikiem, powinien więc zostać ukaranym z wyjątkową surowością. Godził on skrycie na życie swego zwierzchnika, który tylko *wyjątkowej delikatności* swego podniebienia zawdzięcza ocalenie.

Obrona była krótka i prosta. „Według prawa — mówił obrońca — usiłowanie strucia wtedy tylko ma miejsce, kiedy sprawca z zamiarem zbrodniczym podał komuś truciznę. Opinija biegłych poucza, że koperwas dopiero w ilości od 1 $^1/_4$ do 2 łutów trucizną być zaczyna. W mniejszych dozach zażyty, trucizną nie jest, zatym dany wypadek nie przedstawia usiłowanego skrytobójstwa.

Przysięgli oświadczyli się za poglądem obrońcy. Odpowiedzieli twierdząco na pytanie dotyczące wsypania koperwasu,— ale zaprzeczyli wyrażeniu: „z zamiarem pozbawienia życia." Złożyli tym dowód, że szlachetna instytucyja, której byli przedstawicielami, —nawet w trudnych zawikłanych kwestyjach prawniczych, wydaje wyroki zgodne z słusznością, naturą rzeczy i podniosłemi zadaniami sprawiedliwości społecznej.

Z sali sądowej poprowadzę czytelników do teatru.— Nie będzie to przeskok zbyt gwałtowny. Przecież i na tych kruchych deskach scenicznych co wieczór padają krwawe ofiary nieubłaganych praw Opatrznościowych. Teatr tylko większe obejmuje obszary, sądzi i potępia winy, którym nigdy nie staną przed kratkami sprawiedliwości karzącej, a częstokroć jest wykonawcą srogiego wyroku reżyseryi, który publiczność skazuje na zanudzenie...

O teatrze krakowskim kilka tylko słów ogólnych wypowiedzieć mogę.— Znać w nim ład, dobrą organizacyją, poprawność szczegółów i całości.— Role są umiane i wykonywane zadowalniająco, kilku pierwszorzędnych artystów wytrwale dźwiga na barkach losy sztuki, inni pomagają wedle możności. Brak tylko sił młodych i zapału młodego, brak tych czynników gorących i twórczych, które zdolne są przenosić widza w coraz to nowe widnokręgi wrażeń.— Ale jeżeli siły takie nie długo na krakowskiej scenie goszczą, wina to przeważnie publiczności, która teatr traktuje cokolwiek po macoszemu, z arystokratyczną obojętnością.

Brak umiejętnej i bezstronnej krytyki ważną tu także odgrywa rolę. — „Czas" wiecznie wszystkich chwali, powtarzanemi bez końca ogólnikami, które nic nie wyrażają. Pani Hoffman w każdej sztuce przechodzi samą siebie, pan Benda gra znakomicie, p. Wardzyński z powodzeniem studyjuje swą rolę, panna Urbanowicz wywiązuje się z talentem i t. p. Tym sposobem młodzi nie znajdują zachęty, a starsi bodźca do porzucenia wygodnej drzemki na zdobytych laurach.

Chciałem jeszcze powiedzieć słów kilka o Muzeum technicznym, którego nikt nie odwiedza i o charakterystyce targów krakowskich, ale obawiam się nadużywać cierpliwości czytelników. *K. Ł.*

Wiedeń dnia 25 Października 1874 r.

Szał wielkoniemiecki który może silniej zagrasował w Austryi aniżeli w samych Niemczech, nie wyszedł wcale na dobre tutejszej, tak różnorodnej ludności, albowiem wywołał z jednej strony u nie niemców najzupełniejszą apatyją, u niemców zaś niewymowną pychę, odpychającą wszystko co obce, choć nie wydającą obecnie żadnych nowych objawów myśli albo czynu, a poprzestającą na przeżuwaniu dawno już zwietrzałych. Charakterystyką obecną Austryi jest najzupełniejsza stagnacyja, i to nie tylko na ekonomicznym polu, ale i na polu sztuki, wiedzy i beletrystyki. Narodowości słowiańskie stanowiące większą połowę ludności, zmęczone kilkoletnią polityczną najniefortunniej prowadzoną walką o swoje prawa, dotknięte do żywego przesileniem finansowym, które się ostatecznie na nich jak zawsze skrupia, wpadły w jakieś dziwne odrętwienie. A ponieważ niemiecki liberalizm nadzwyczaj drogo kosztuje, więc każdy jak może myśli skąd grosz na opłacenie podatków wyciągnąć, powiada sobie iż wszelkie wysilenie i tak na nic się nie zdało w obec nacisku niemieckiego i spokojnie zakłada ręce. Jeżeli coś się tu pojawi, to chyba jakieś tłomaczenie obcego dzieła, — samoistnej myśli lub czynu nie ujrzy. Nie osobliwy to objaw owe tłomaczenia mnożące się kopami, które autor zwykle dla swej własnej satysfakcyi mozolnie płodzi, i to najwięcej licho, a których czytaniem mało kto się trudzi. Lepsze jedno dzieło oryginalne, jak całe fury tłómaczeń, które się tak zagęściły dziś w słowiańskim świecie jak gdyby już cała siła twórcza w nim zastygła. Za to w najlepsze kłócą się wszyscy między sobą, w domu i po za domem, stronnictwo staro-czeskie z młodo czeskim, kroaci z słowakami, galicyjanie liberalni na niemieckie kopyto, z galicyjanami nie liberalnymi od Wasana, druciarze węgierscy z rusinami zakarpackimi. Zawsze tam ktoś wszystkiemu winien, żeltak się nie dzieje jak dziać powinno. Mówi się tam siła o pracy organicznej, o ekonomicznym rozwoju,— ale kto się o tym nagada, nie ma już czasu do tej pracy, i w kłada ją na barki sąsiada, a tym czasem kolonizacyja niemiecka coraz głębiej zapuszcza swe korzenie w biedną słowiańską ziemię, której mieszkańcy idą gramadami w służbę niemiecką, aby po ich miastach wszelką ciężką pracę wypełniać i ulegać co raz większemu wynarodowieniu. Dość przypatrzyć się w Wiedniu każdej budowie, każdej pracy ręcznej na ulicy, aby się przekonać iż tylko robotnik słowiański swą pracą i znojem austryjacką stolicę wystawił. Staje on się najlepszym, najpilniejszym robotnikiem na świecie, ale dopiero pod obcym niebem. W domu sam nieświadom swej siły, nieświadom nawet czym jest, albowiem klasa oświeceńsza zbyt zajęta własnym interesem i górnolotną polityką aby się tym biednym i ciemnym ludem szczerze zająć. Z resztą obcy żywioł tak się już zagęścił na słowiańskiej ziemi, iż tylko prawdziwe poświęcenie ludzi wykształceńszych jak się to stało w Czechach, może zmienić ten smutny stan rzeczy. Żywioł zaś obcy, stanowiący przeważnie oświeceńszą klasę, o tyle tylko dba o ten lud o ile go może wyzyskać lub zniszczyć. Nie dziw więc, iż rok rocznie tysiące rąk zdolnych do pracy, opuszcza ziemię do której wiążą tylko smutne wspomnienia, i ciągnie za urojonym zarobkiem do obcych miast, a ta ziemia pozbawiona tych rąk do pracy, staje się z dniem każdym biedniejszą.

Stan ten jest mniej więcej jednaki, czy z tej czy z tamtej strony Litawy. Jedyny wyjątek stanowią może Czesi. Brudas, cynik, skąpiec, Czech wszędzie się wciśnie, z każdej rzeczy umie skorzystać, a bajeczną oszczędnością i przebiegłością najczęściej nie przebierając w środkach, dochodzi zwykle po kilkunastu latach z niczego i ku ogólnemu zdziwieniu do mienia i pewnego stanowiska w świecie. Niemiec austryjacki prawie nigdzie mu pola dotrzymać nie może, co się nie mało przyczynia do bajecznej jego nienawiści do owego żywiołu, a że Czech pomimo dojścia do mienia w niczym nie zmienia swego charakteru, pozostaje zawsze zimnym egoistą, którego bożyszczem grajcar, przeto nie dziw, iż owa niechęć do Czechów, wrodzona niemcom, udzieliła się najniesłuszniej i innym szczepom. Dotąd Czesi należeli do najruchliwszych szczepów w Austryi na polu piśmiennictwa; wprawdzie oryginalnego tu tak dobrze jak nic nie było, a całe ich piśmiennictwo podobnie jak język nosi na sobie wybitną cechę skostnienia i przestarzałości, jednakże tłomacząc obce dzieła na łokcie, naśladując wszystko, co się tylko naśladować dało, narzucając się wszystkim pobratymczym szczepom i zaglądając do tak ciemnych studni do których nikt nie zajrzał i do kątów o których inni całkiem zapomnieli, niezmiernie czynną odgrywali rolę. Dziś w Pradze tak dobrze jak nic się nie robi, a konfuzyja polityczna a jeszcze gorsza konfuzyja finansowa przypłaszczyła umysły. Nawet narodowy teatr nie może się jakoś wygrzebać z pieluch i pozostaje na stanowisku najzupełniejszej miernoty. Kwintesencyją czeskiej mądrości jest obecnie przeczenie i oglądanie się w tył. Gdzie idzie o wytrwałość, o zachowanie raz zajętego stanowiska, o negacyję, dają dowody podziwienia godnej wytrwałości i jednomyślności, lecz gdzie idzie o czyn, ani rusz z miejsca. Świat nie stoi w miejscu i kto nie idzie naprzód, nad tym przechodzi do porządku dziennego. Nie dziw więc, iż przyszłość czechów jako narodu zarysowuje się w coraz ciemniejszych kolorach.

Z tamtej strony Litawy nie lepiej się dzieje, raczej gorzej. Uprzywilejowany szczep madyjarski nigdy nie odznaczał się wybitnym stanowiskiem na naukowym polu, a całą literaturę madyjarską chłop na plecach uniesie, nie dziw więc, iż chętka medyjaryzowania per fas i nefas innych szczepów wprost przeciwne szerzy skutki. Pić i hałasować, przechwalać się i odgrażać, a w rezultacie nic nie robić, było zawsze charakterystyczną węgierską cechą a gdy zbiegiem pomyślnych okoliczności zajęli stanowisko silniejsze, aniżeli im się z natury rzeczy należało, wrodzona pycha wszechwładnie opanowała umysły i nie było granic zachciankom. Ale wnet prawda wyszła na wierzch, jako mała garstka uprzywilejowana, wtedy tylko zdoła zmonopolizować trwale władzę, jeżeli góruje nad masami nie zaprzeczoną wyższością umysłową i moralną; a gdy tych przymiotów niestało, nastąpił najnaturalniejszy sojusz pomiędzy panującą w Węgrzech

koteryją, a austryjacką prusko-żydowską kliką, którego ostrze zwrócone przeciwko wszystkim innym narodowościom państwa. Ale jak w każdym sojuszu, tak i tu mądrzejszy wnet głupszego wyzyskał. Zamiast pojąć tę prawdę, iż cobądź należało szczupłej garstce madyjarskiej zlać swój interes z interesem ludu, być spójnią i przewodnikiem tych ciemnych i tyle wieków gnębionych mas, woleli z wrodzonej nienawiści do słowian, z pociesznego przestrachu przed słowiańszczyzną, rzucić się w objęcia swych naturalnych nieprzyjaciół i rezultatem była finansowa i ekonomiczna ruina kraju. Z tylu obcych na ziemi węgierskiej pozakładanych banków pozostały okruchy, a za niemi ostatni grosz z kraju wywędrował; sieci kolei żelaznych nie ma za co dokończyć, od lat trzech większa połowa podatków zalega, a potrzeby krajowe opędzają się tylko zastawianiem na ciężką lichwę krajowego majątku.

Fałszem jest najwierutniejszym, aby Węgry były bogatym krajem, przeciwnie są jednym z najuboższych, gdyż narodowy majątek stanowi nie urodzajność ziemi, lecz produkcyja i praca, których to ostatnich tam zupełnie nie staje. Chłopa madyjara, w prawdziwym znaczeniu tego słowa nie ma, gdyż każdy madyjar chociażby siedział na jednym zagonie, uważa się za szlachcica, coś na kształt naszego zagonowego i jako taki pracą się brzydzi, do handlu nie ma najmniejszego apetytu i byle wino jako tako się urodziło, poprzestaje na słoninie i kukurydzy, a paląc fajkę leży dzień cały do góry brzuchem pod ścianą i za ofiarowanych nawet 10 fl. nie tylko do pracy nie pójdzie, lecz ani z miejsca się nie ruszy. Większa własność prawie bez wyjątku obdłużona nad wartość, gospodarstwa w stanie opłakanym, a budynki ruderą. Nawet owa niegdyś tak słynna z zamożności magnateryja węgierska zamieniła się w gromadę bankrutów, a cały handel i lada jakiś przemysł w rękach żydów, będących dziś już *de facto* panami kraju, który również cały jest na sprzedaż, gdyby się tylko kupiec trafił. Zrazu po r. 1867 zaczęli się tutaj cisnąć prusacy, przywabieni żyznością i taniością ziemi, lecz wnet miejscowe okoliczności przemogły nawet zabiegliwość pruską i niejeden który przybył z jakim takim groszem, wnet wyszedł z torbami. Zabójczo włada brak wszelkiego kredytu, spowodowany niedołęstwem sądownictwa i wrodzonym każdemu madyjarowi wstrętem do płacenia jakiegokolwiek zobowiązania inaczej jak kijem. Rząd temu pomimo najlepszych chęci zaradzić nie może dla ciągłych kłopotów finansowych i zupełnego rozprzężenia administracyjnego; chcieć zaś ekzekwować podatki i oczyścić administracyję, jest to narazić się na tak powszechny wybuch opozycyi, iż żadne ministerstwo przetrwać go nie zdolne. Jest to zatym wadliwe koło z którego chyba cudotwórca jakiś wyjść zdoła; tymczasym ogólne położenie z dniem każdym nieznośniejsze i nędza się wzmaga.

Słowiańskie szczepy węgierskiej korony przyswoiły sobie najzupełniej madyjarski wodowstręt podatkowy i zamiłowanie pieniactwa i aczkolwiek słowak lub chrobat bez porównania pracowitszy od węgra, jednakże lekkomyślność i pijaństwo pochłaniają tu owoc pracy. Przy tym ciemno tam jak w studni, a duchowieństwo jedyny krzewiciel oświaty pomiędzy tym ludem, który jak zwykle każdy słowiański chłop, surdutowym nie ufa, zamiast pracować nad jego umoralnieniem, oddaje się przeważnie niepłodnej i czczej politycznej agitacyi. Jedni tylko rumuni, cichą i nieustanną pracą, oszczędnością i chytrością coraz więcej się rozszerzają i coraz więcej ziemi przechodzi w ich ręce. Przewidzieć już można ten czas w którym w całym Siedmiogrodzie, wtym jednym z najpiękniejszych a najmniej znanych krajów Europy, madyjara nawet na lekarstwo nie znajdzie.

O życiu umysłowym i towarzyskim niema co i mówić. Po miastach prowincyjonalnych ogranicza się na zjazdach w celu wyborów lub zabawy, z nieuchronną cygańską muzyką, na pijatyce i kozłach, a że czasy ciężkie i pieniędzy brak, więc pije się cienkusz i gra na grajcary. Na sto domów, nawet zamożniejszych, znajdzie zaledwie jedną książkę, i to do tego niemiecką. Ma się tam wprawdzie coś czasami w Peszcie po madjarsku drukować, ale co i jak o tym mało który madjar umie coś powiedzieć. Zresztą w tej krajowej stolicy tak szeroko rozścielił się obecnie germanizm, iż wiedzieć trzeba iż jest się w madyjarskiej stolicy, nie zaś w pierwszym lepszym niemieckim mieście; na ulicy przynajmniej wszędzie niemczyzna przeważa, wkrada się wszędzie w obyczaj, w usposobienie, nawet dotąd wyłącznych kółek, które przez ślepą nienawiść do słowiańszczyzny podpadają coraz więcej niemieckim wpływom. Kocha też niemiec o ile kochać coś zdolny, madyjara, gdyż go już uważa za swego, jednakże miłość ta nie przechodzi granic platonizmu, gdy idzie o worek. Jest on dla brata madyjara szczelnie zamknięty.

Są tam akademije, stowarzyszenia naukowe, literackie, rolnicze, i t. p. lecz o nich tyle słychać, iż nic nie słychać; wszystkie wysilenia ludzi dobrej woli rozbijają się o głębokie przekonanie madyjarskiego ogółu, iż węgier z natury jest najmądrzejszym człowiekiem, *ergo* nic się uczyć nie potrzebuje, iż wszystko co tylko najmądrzejsze, najlepsze na świecie znajduje się w Węgrzech. Wszakże nawet Chrystus Pan, był z rodu Węgier, i został umęczony przez Cyganów,— jak to świadczy obraz w kościele, znajdujący się prawie w każdej wiosce węgierskiej. d. n.

Lwów dnia 26 Października 1874 r.

Że też nikt naszej nie zwróci uwagi, na rzeczy tak ciekawe" usłyszysz niejednokrotnie we Lwowie, gdy wspomnisz naprzykład o otwartym już dla publiczności muzeum przemysłowym, lub o gabinecie zoologicznym hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego. Poczciwiśmy z kościami, ale przyznajmy się... leniwi do wszystkiego. Zwracać uwagę wtedy, kiedy nie jeden dziennik we Lwowie uczynił w łamach swoich stałą rubrykę dla Muzeum przemysłowego „w salach strzelnicy przy ulicy Kurkowej i ogłasza co dzień od tej a do owej godziny muzeum otwarte, wstęp zaś 20 ct." Więc zwróć uwagę, to już chyba weź za rękę i zaprowadź, ale jeszcze i w takim razie przyrzecz, że nie długo potrzymasz tam kochanego gościa ze wsi lub nawet na bruku lwowskim znanego dawno obywatela miejskiego. Otóż i przyczyna dla której sale puste prawie, a na fundusz przeznaczony na opłacenie wykładów w muzeum tak mało wpływa. A jest co oglądać, jak na początek jest bardzo obficie. W dużej sali i pięciu mniejszych ani jednej ściany, żeby pustkami świeciła: do koła szafy za szkłem i gabloty. W jednej z bocznych sal pomieszczono wszystko na co się zdobył biedny, w pieluchach przemysł galicyjski *domowy*, to jest wyroby wiejskie, przeważnie garncarskie, tkaniny grube, kołodziejstwo, pojasy (przepaski któremi obwiązują biodra mołodycze wiejskie); dalej i to co się znajduje w stanie surowym, próby węgla kamiennego, wosk ziemny i t. p. Jedyny wyrób od surowca począwszy a skończywszy na stopniu produkcyi w stanie najdoskonalszym, to nafta galicyjska i świece parafinowe. Najciekawsze i niezawodnie najwięcej pouczające przedmioty złożone w sali drugiej: są to wyroby kruszcowe, modele najrozmaitsze i maszyny zakupione na wystawie wiedeńskiej. Bardzo obfity jest dział przemysłu artystycznego, w którym jednak najwięcej przedmiotów złożonych w muzeum do użytku, na modele, przez osoby prywatne ale nie darowanych. Tu także znajduje się ciekawy zbiór papierów wyrobu japońskiego (własność muzeum z wystawy wiedeńskiej). Słyszałeś też kiedy czytelniku o „papierze do pisania poezyj"? Sądzisz, że Japończycy piszą poezyje jak inni śpiewacy, nieśmiertelni, choć pisali na zwykłym papierze? Bynajmniej, na to przeznaczony jest papier błękitny, nakrapiany złotem, czy szczerym, nie ręczę, ale dość, że muza japońska wyglądać musi bardzo eterycznie na błękitnym kilkunastułokciowym papierze. W tymże oddziale zasługują na uwagę wyroby stolarskie „Towarzystwa stolarzy lwowskich" i stoły przepyszne z mozajki orzechowej p. Molendy z Krasiczyna. Niepodobna mi tu wszystkiego wymienić, bo by się to stało kosztem chyba reszty treści, dodam więc przynajmniej, że głównym obecnie mecenasem naturalnie nie ujmując zasługi p. Bałutowskiemu krawcowi, otóż głównym zbieraczem i ofiarodawcą jest hr. Władz. Dzieduszycki. I teraz powróciwszy z wystawy warszawskiej przywiózł w darze dla muzeum wyroby fajansów i porcelany z fabryki Ćmielowskiej w Królestwie.

Miałem pisać w niniejszej korespondencyi o wydawnictwach, o pismach, które powstały w chwili gdy obnażone z liści drzewa nie wabią już nikogo do ogrodów, ani na wysoki zamek a zaprasza raczej ciepły kominek, więc może i pismo jakie na stoliku, miałem ten zamiar, cóż kiedy nie mniej ważna przyszła rzecz do skutku. Dnia 24 b. m. przed kilku więc dniami otwartą została we Lwowie *szkoła gospodarstwa lasowego*. Budynek na szkołę zakupiony, przerobiono, przebudowano odpowiednio do potrzeb, urządzono sale do wykładów i salę muzealną. W tej ostatniej w szafach sięgających sufitu pomieszczono poddostatkiem wszystkiego, co potrzebne do praktycznego wykształcenia ucznia leśnika. I znowu zakrawałoby to na panegiryk gdyby nie było prawdą, i znowu dary po większej części pochodzą ze zbiorów hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego. Przepyszny, obfity jest zbiór nasion i krzewów lasowych. Bardzo także ciekawe są modele wszelakich płotów jakie gdziekolwiek istnieją, dalej nie mniej bogate zbiory ornitologiczne i entymologiczne. Budynek szkolny urządzony na wykłady dla 60 uczniów znajduje się przy ulicy S-go Mikołaja i tuli się poniekąd pod skrzydła gmachu uniwersyteckiego. Urządzeniem ogrodu do koła budynku zajmuje się p. Tyniecki, jeden z profesorów, a mianowicie botaniki leśniczej. Całe grono nauczycielskie składa; dyrektor i profesor leśnictwa Henryk Strzelecki: profesor zoologii Dr. Romer; prof. matematyki i fizyki Dr. Stanecki; prof. chemii Dr. Rodziszewski; nauczyciel ekonomii i prawnictwa Dr. Till; stylistyki Dr. Zgórski i miernictwa Jaegorman.

Teraz słówko o nowym Towarzystwie.

W marcu r. b. zawiązało się Towarzystwo przemysłowe, które postawiło sobie za zadanie: ulepszenie i podnoszenie tego co jest na razie a następnie wynajdywanie nowych źródeł pradukcyi krajowej. Dopiero w sierpniu, zebrawszy kapitał, rozpoczęło Towarzystwo czynność właściwą. Zakupiono istniejącą we

Lwowie fabrykę zapałek Dydackiego, czyli przystąpiono do spółki z doświadczonym już w tym fachu dawnym właścicielem, by rozpocząć fabrykacyją na większą skalę i wyrabiać także przedmioty z produkcyją zapałek połączone.

Być może, przybędzie miastu prócz drugiej wielce potrzebnej szkoły realnej, także i gimnazyjum czwarte. Projekt jest, władze rządowe a przeważnie Ministerstwo Oświecenia przyrzeka pomoc, byle komuna lwowska opędziła koszta lokalu na szkołę. Pod jeden gmach na pomieszkanie gimnazyjum już się zakładają fundamenta fundamentów, gdyż wbijają się piloty. Lwów w kotlinie wilgotnej, wszędzie zatym grunt rzadki i podpływa woda, stąd kłopot, bo trzeba umacniać moczary wbicia tysiąca lub i więcej dębów, jeżeli zwłaszcza budynek ma być duży.

Rok 1874 będzie pamiętnym w rocznikach Lwowa: powstało muzeum przemysłowe, szkoła gospodarstwa lasowego, buduje się gimnazyjum (gmach pierwszy specyjalnie na szkołę średnią przeznaczony), buduje się lokal na technikę, a nakoniec założone przez komunę lwowską w r. 1872 bióro statystyczne, wystąpiło w r. b. z owocem pracy kilkuletniej wydawszy: „Wiadomości statystyczne o mieście Lwowie. Rocznik I.“ *T. S.*

Rozmaitości.

— *Przemysł i Handel.* Projektowana kolej Nadwiślańska dzielić się będzie na 4 sekcyje: 1) od Mławy do Warszawy długość wiorst 120; 2) od Warszawy do Lublina wiorst 160, z odnogą z Iwangorodu do Łukowa której roboty już rozpoczęte; 3) od Lublina do rzeki Bugu i 4) od Bugu do Kowla wiorst 152. Kierunek pomiędzy Mławą a Warszawą dotąd nie jest ostatecznie oznaczony. Z pierwszej stacyi w Jabłonny kolej Nadwiślańska połączona będzie odnogą z twierdzą Nowogeorgiewską (Modlin) sama zaś linija przejdzie Bug i Narew pod Pułtuskiem i przez Ciechanów dojdzie do Mławy. Na przestrzeni od Warszawy pierwsza stacyja będzie w Karczewie, druga w Starej Hucie, trzecia we wsi Krępa. Dalej przez Godzisz, Kobusy, Wolę Żyżyńską, Błędownicę, Rokitnię dojdzie do wsi Miedzianki, gdzie będzie stacyja Iwangorodzka, pozostawiwszy zaś nieco na boku Końskowolę dojdzie do wsi Chrząchówka, gdzie będzie stacyja Nowo-Aleksandryja (Puławy). Stąd przez Stępinie i Karolin doprowadzi do stacyi Piotrowice, skąd kierunek ku Lublinowi nie jest jeszcze ostatecznie wybrany, pójdzie bowiem, przebywszy szosę raz pod Jastkowem i dwukrotnie pod Sławinkiem, do Lublina, albo też nie przetnie szosy i wprost pójdzie przez Snopki. Stacyja Lubelska ma być urządzoną na przedmieściu Lublina: Tatary. Stąd przez Zadębie i Krępiec dojdzie do stacyi Wierzchowisk, dalej przez Piaski, Biskupice, Majdan, Zalesie, Władysławów, Józefów do Rejowca a następnie przez Weresce do Chełma. Od Chełma przez Serebryszcze, Pryzno, Wólkę, stacyje Dorochuska, Jagodzin, Terebenkę, stacyję Luboml, Podgorodno, Topelkę, stacyję Maciejów, Krasnoduły i Konary do Kowla, gdzie kolej Nadwiślańska zetknie się z liniją Brzesko-Kijowską. Co do projektu kierunku kolei pod Warszawą, punktem wyjścia będzie dworzec kolei Petersburgskiej lub Terespolskiej.

Od Redakcyi:

W roku przyszłym 1875, Opiekun Domowy, pismo dla Rodzin, wychodzić będzie co Czwartek w podwójnej objętości, to jest każdy Numer składać się będzie zamiast jak dotąd z 8-u z 16 stronic, zamiast z 24 z 48 szpalt pisma.

Stawając w rzędzie większych pism krajowych, „Opiekun“ z pomocą Bożą a poparciem ludzi dobrej woli, potrafi mamy nadzieję zapełnić te wszystkie braki, jakie szczupłość ram pisma powodowała, a jakie mówimy to szczerze, znamy sami najlepiej, bośmy najlepiej pragnęli! Jako pismo dla rodzin, Opiekun stać będzie na straży tego wszystkiego co najdroższego mamy na tej ziemi!

Opiekun Domowy w r. 1875 pomieszczać będzie:

1) *Artykuły wstępne.*
2) Poezyje.
3) Praktyczne rady pedagogiczne i higieniczne.
4) Opowiadania i gawędy naukowe.
5) Obrazy wspomnienia i szkice historyczne.
6) Korespondencyje z kraju i zagranicy—Podróże.
7) Kronikę zagraniczną.
8) Sprawozdania ze wszystkich nowych książek polskich.
9) Artykuły tyczące się gospodarstwa i przemysłu domowego.
10) Przegląd ubiorów.
11) Najpraktyczniejsze środki lekarskie (medycyna domowa).
12) Zagadnienia z pedagogiki.
13) Wzory lekcyj z nauk specyjalnych.
14) Nowiny krajowe i zagraniczne.
15) Sprawozdania teatralne.
16) Ślady życia, felijeton obejmujący sprawozdania krytyczne ze wszelkich objawów życia w kraju.
17) Ogłoszenia mające na celu ułatwienie pośrednictwa w doborze nauczycieli, korepetytorów, bon i guwernantek, a także rozpowszechnianie wiadomości o książkach i pismach, o szkołach i stancyjach i w ogóle o wszelkich faktach mających związek z potrzebami rodziny.

Nadło w każdym Numerze znajdować się będą dwie powieści o r y g i n a l n a i t ł o m a c z o n a, do którego to działu wybierać będziemy najciekawsze i wyjątkowej tylko wartości utwory. Zaraz w 1-m Numerze r. p. rozpoczniemy:

Z powieści oryginalnych: wyborną powieść humorystyczną P. Lucyjana Faleńskiego *„Świetne widoki pani Marcinowej“* z ilustracyjami P. Franciszka Kostrzewskiego, poczym damy natychmiast oryginalną powieść J. I. Kraszewskiego.

Z powieści tłomaczonych: niesłychanie zajmującą powieść Meine Reide'a (Majn Rida) ze stepów amerykańskich, p. t. *„Za wojennym śladem.“*

Od 1-o także zaraz Numeru, rozpoczniemy cenną pracę znanego badacza Jana ze Śliwina p. t. *Zarysy z dziejów Litwy i Rusi*, w której autor przebiegając kraj cały t. j. 9 gubernij zachodnich Cesarstwa obejmuje wspomnienia dziejowe, stan dzisiejszy i podaje jednocześnie zarysy statystyczne ekonomiczne, etnograficzne, archeologiczne i t. p.

Przedpłata Opiekuna Domowego wynosi:

w Warszawie z odnoszeniem do domu

rocznie . . .	rs. 6.
półrocznie . .	„ 3.
kwartalnie . .	„ 1 kop. 50.
miesięcznie . .	„ — „ 50.

Na prowincyi i w Cesarstwie z opakowaniem i przesyłką:

rocznie	rs. 8.
półrocznie . . .	„ 4.
kwartalnie . . .	„ 2.

Prenumerować można we wszystkich księgarniach i kantorach pism peryjodycznych, z prowincyi *najlepiej* jednak zgłaszać się wprost do Redakcyi (Nowy Świat Nr. 30 nowy).

ODPOWIEDZI.

P. *Ejmont...* w Burnicach. Brakujące numery wysłaliśmy natychmiast po otrzymaniu pierwszej reklamacyi jak przekonywa odpowiedź zamieszczona w N. 44.

P. *Świders...* w Słonimiu. Adres zmieniony N. 38 powtórnie posyłamy.

P. *Bortkiew...* w Dynaburgu. Dokończenie powieści Teofanija Abiagio wysłaliśmy dla wszytkich pp. prenumeratorów przy 41 numerze.

P. *Kablickiej* w Jadowsie. N. 24 oraz dokończenie powieści Wąwozy Kandyńskie i początek „Źródła Nilu“ wysłaliśmy powtórnie.

P. *Sobańsk...* w Serokach. Z Bibloteczki wysłaliśmy tomów 7 wkrótce dalsze tomy prześlemy Nr. 40 i 41 posyłamy powtórnie.

P. *Bielow...* w Charkowie Nr. 41 po raz drugi posyłamy o brakujące arkusze dodatku od str. 81—296 wysłane przy numerze 41, racz Pan upomnieć się na stacyi pocztowej.

Do dzisiejszego Numeru dołącza się dla wszystkich pp. prenumeratorów prospekt na rok 1875.

Дозволено Цензурою.—W drukarni E. Skiwskiego,—Warszawa, Elektoralna, Nr. 758 (nowy) 28.

Redaktor i Wydawca Henryk Perzyński.